

List do Eleonory

Szymon Szymański

Opowiadanie jest inspirowane serią grafik Jakuba Różalskiego, a konkretnie obrazem pt. „1920 – a walk through the woods”

<https://www.artstation.com/artwork/e1Y6J>

Günter, mój najdroższy chłopcze. Obawiam się, że mój ostatni list mógł Cię przestraszyć. Moja propozycja była podyktowana jedynie troską o Ciebie, lecz jeśli tak bardzo Cię zniechęciłam, to napisz mi o tym.

Proszę, daj znak życia, abym mogła spać spokojnie.

Zawsze Twoja

Eleonora.

*

Moje najdroższe Serce.

Jak zwykle masz rację. To nie przypadek, że nie pisałem do Ciebie od tak dawna. Kanclerz wynegocjował zawieszenie broni już prawie miesiąc temu, a mimo to milczałem.

Od początku rozejmu kilkakrotnie siadałem w zaciszu namiotu i zamierałem w bezruchu, nie wiedząc w jakich słowach Ci odpowiedzieć. Tak jakby do mej głowy przeniknął wiatr, hulający wśród bezkresów tej dzikiej krainy. Potrzebowałem czasu, aby dokładnie przetrwać propozycję, jaką byłaś mi łaskawa złożyć. Udałem się więc na pieszą wyprawę. Jakiś oficer polityczny zrobił z tego powodu wielką awanturę, bo jako bohater nie mogę niepotrzebnie ryzykować życiem. Wymusił na mnie towarzystwo ochroniarzy. Zdecydowałem się na oddział grenadierów oraz jednego Füßgänger – Kampffahrzeug II. To lekkie maszyny, których stukot odnóży przypomina mi warsztat kowalski Twojego ojczulka. Ech, gdzie te słoneczne czasy, gdy mogłem ukraść z jednostki uszkodzonego FgKpfg i porwać Cię na przechadzkę po przedmieściach Lipszigu? Pamiętasz?

Na spacer zabrałem wilki. Nacht był niespokojny, ale Tag przyliżała bratu ucho i ten się natychmiast odprężył. Ich obecność skierowała moje myśli na tory, których od dawna starałem się unikać. Wiesz doskonale, że są w mej głowie bocznice, którym pozwoliłem zarosnąć trawą. I akurat przedwczoraj zawędrowałem do miejsca, które wiąże się z bardzo intensywnym wspomnieniem. Będzie ono dla Ciebie najlepszą odpowiedzią.

Było to dwadzieścia lat temu w dolinie, w której obecnie sterczy tłusty, senny i nieruchawy sztab armii Saksonii. Wtedy nasza armia po raz pierwszy zmierzyła się z najpotężniejszą bronią Rusvietu: z mrozem. Dowództwo kompletnie nie przygotowało wojska na tak bezlitosne mrozy, dlatego żołnierze umierali. Oglądałem setki poszarzałych rzeźb z pozamykanymi oczami i sinymi ustami. Saksońska ofensywa straciła impet i wszyscy wiedzieli, że czeka nas kompletna klęska. Kanclerz wycofał armie zgniecione zimnem z całego frontu, po to tylko, by podczas odwrotu, wykrwawić się na polańskich szablach. Nie to jednak było najgorsze.

Jak wiesz, kraj Rusvietu jest niewyobrażalnie rozległy, jest oceanem pól, łąk i lasów, a zamieszkują go istoty straszne i krwiożercze. Przeklęty car postanowił rzucić na nas lawinę barbarzyństwa. Ściągnął na front wszystkie bestie w ludzkiej postaci: dziwadła o żółtej, czerwonej lub ciemnobrązowej skórze, brudne i zarośnięte gęstym futrem.

Tamtego dnia prowadziliśmy zwiad wzdłuż linii kolejowej. Mieliliśmy zrobić rozpoznanie bojem i szybko odskoczyć. Nie spotkaliśmy wtedy żadnej jednostki wroga i wydawało nam się, że to dobra wiadomość. Przemierzając dolinę nie marzyliśmy już o wspaniałych walkach, bohaterskich szarżach i honorowych pojedynkach. Byliśmy zdziesiątkowani, głodni i przemarznięci. Tuptaliśmy ostrożnie, by nie poślizgnąć się na lodzie, a bujaliśmy się przy tym jak maszerujące w rzędku pingwiny. Opatrzność skierowała nas na łyse wzgórze, ogolone z drzew przez artylerię. Otucha wlała nam się w serca, gdy w dolinie zobaczyliśmy magazyny, rozległe torowisko oraz batalion saksońskiego wojska. Natychmiast zameldowaliśmy się u nich, a dowódca tymczasowo włączył nas do kompanii grenadierów. Nie zabrakło tam znajomych z czasów Akademii Gwiazdy Kaisera. Zostaliśmy oddelegowani do wschodniej części obozu, gdzie czekał nas namiot z paleniskiem oraz ciepłym posiłkiem. Poczułem się niemal jak u Twego boku.

Zmierzch powoli okrywał pachnącą żelazem i smarem kolejową stanicę. W drodze do namiotu mijaliśmy stojący na bocznicy pociąg. Transportowano nim tysiące jeńców wojennych w kierunku Polanii. Generalicja chwaliła się tym żywym łupem, który my z przerażeniem oglądaliśmy na postoju. Rdzennych Rusvietów było niewielu. Większość jeńców to Asjaci, krępe gargulce, o małych, szczurzych oczach. Włochate cielska zostały wtłoczone do bydłych wagonów, po stu w jednym. Wokół nich unosił się stęchły zapach, podobny do gotowanego kleju skórniego. Obrzydlistwo z najgorszego koszmaru.

Drugiego dnia od obiadu oderwały nas nieludzkie wrzaski. Wybiegliśmy z bronią w rękę, spodziewając się napaści Rusvietu. Krzyk dobiegał od strony wagonów. Odsunęliśmy drzwi jednego z nich i zobaczyliśmy scenę żywcem z katastroficznych malunków Breugela Starszego. W środku wagonu kotłowało się jak w gnieździe szerszeni. Wyglodniali i zdziczali Asjaci wrywali sobie kawałki mięsa. Ludzkiego mięsa. Żarłocznicy jak piranie, oblepili ciało jednego ze swoich i kęsałi go żółtymi zębiskami. Jeden z nich, zwałisty jak góra, wyrwał parujące serce, ogłaszając swą hegemonię. Nawet granat gazowy nie uspokoił sytuacji.

To nie był koniec dziwności. Z wagonów popłynął dziwny, gardłowy zaśpiew. Był to rytmiczny dźwięk, podobny do wizgu maszyny parowej, przetykany inkantacją w języku, o którym nawet starzy bogowie zapomnieli. Ze strachem zaglądaliśmy do wagonów, żeby

zobaczyć Asjatów, kiwających się w rytm hipnotycznego głosu. Gdy sądziłem, że od tego śpiewu wydłubię sobie oczy, rozhulało się piekło.

Ni stąd, ni zowąd, wśród magazynów pojawiła się pękata sylwetka maszyny kroczącej Rusvietu. Kolos na krótkich nóżkach, bujał się we wszystkie strony, rażąc ogniem zaskoczonych Saksonów. Nie wiem jakim cudem taka maszyna znalazła się niepostrzeżenie wśród nas. Może sprawiły to czary szamana? Ruswiecki mech pokracznie przeciskał się między magazynami, zrywając dachy, niczym skalpy z głów jeńców i pluł do środka ogniem i gazem bojowym. Moja kompania zerwała się do boju, lecz w tej samej chwili za naszymi plecami wydarzyło się coś równie zaskakującego.

Niezwyczajna siła wyrwała boczną ścianę wagonu. Krył się tam potężny, owłosiony Asjata – ten sam, który wcześniej zjadł serce współwielżnia. Czarna magia sprawiła, że potwornie się rozrósł, mięśnie napęcznieły, a włosy zgęstniały i pokryły całe ciało. Był jeszcze w trakcie mutacji, kiedy zeskoczył na ziemię, ciągnąc za sobą wnętrzności towarzyszy, których pokąsał, poszarpał i zjadł. Gdy ruszył w kierunku moich dragonów zamarłem spetryfikowany grozą. Potwór nie miał już ludzkiej twarzy, tylko wilczy pysk, który ciągle jeszcze się wydłużał. Otworzyliśmy ogień, lecz to go nie zatrzymało. Rozszarpał dwóch szeregowców i pobiegł w las. Najwyraźniej nie miał zamiaru zostać i pastwić się nad resztą wojska. Nie musiał. Atak Rusvietu był tak skuteczny, że nie mieliśmy szans. Z lasu wychyliły się kolejne zardzewiałe mechy, otoczone dziesiątkami ruswieckich chłopów, uzbrojonych w kosy i siekiery. Saksoński batalion topniał w chaosie.

Nie wiem jaki mefisto mnie podkusił, ale pobiegłem w ślad za bestią. Podążyłem w głąb dzikiej puszczy, wypatrując krwawych plam na śniegu. Ślad był bardzo wyraźny, a wilkołak nie krył się wcale. Biegł niezwykle szybko, ale zauważyłem, że słabł. Co by nie mówić, moi grenadierzy byli świetnymi strzelcami i przed śmiercią zdążyli stworzyć podziurawić. Ten jednak uparcie przedzierał się przez las, nie zważając na obrażenia. Był u kresu sił, gdy zatrzymał się przy skalnej ścianie. Obserwowałem z bezpiecznej odległości, jak bydle osuwa się na ziemię, zostawiając na granicie krwawy rozmaz. Gdy oklapł zupełnie, wyjrzałem z krzaków. Zaciskając palce na rękojeści szabli, podszedłem bliżej. Wilkołak próbował bronić dostępu do skalnego załomu, gdzie kryło się wejście do jaskini. Chciał dosięgnąć mnie pazurami, ale był już zbyt słaby. Życie uchodziło z niego powoli i nieubłagalnie. Zajrzałem w głębokie, stalowe ślepia i ujrzałem lęk. Szybko zrozumiałem, czego tak mocarna bestia mogła się obawiać.

To, co spotkałem w środku, było karykaturą natury i człowieczeństwa. Wgapiając się w drżące ciało mutantu i jego pokracznych dzieci, poczułem, że wszystko, co ludzkie

zostawiłem na zewnątrz. Przerazenie wymieszało się ze smutkiem i żalością. W głębi duszy zaległo się pragnienie ucieczki i wymazania tego widoku z pamięci. Lecz nie mogłem odejść. Naga, pół wilcza kochanka wilkołaka, jak i jego pokraczne dzieci, zostawione same sobie, stanowiły piekielne zagrożenie. Patrząc na te stwory zrozumiałem, że nie możemy sobie pozwolić, by za naszą wschodnią rubieżą leżały się takie potworności.

Być może postąpiłbym inaczej, gdyby nie stoczona wcześniej bitwa. Gdybym wcześniej nie widział poszarpanych ciał Asjatów, zjedzonego serca i czarnoksięskiego obrządku, może ulitowałbym się nad stworami. Lecz tamtego dnia przemówił do mnie mroczny bóg pradawnych Gotów i kazał wykonać wyrok. Wyjąłem rewolwer i rozdałem po jednej kuli.

Wiesz dobrze, moje Serce, że nie jestem tchórzem i jeśli odbieram życie, to nie jak skrytobójca. Chciałem, aby moje ofiary mogły spojrzeć w oczy katu, więc odpaliłem krzemową latarnię. Przeładowując bębenek, usłyszałem pisk maleńkich, futrzanych potworków, które próbowały skryć się przede mną w cieniu. Zobaczyłem, że dwa z nich wcale nie były pokracznymi mutantami. Ten chory i sprzeczny z naturą związek wydał na świat coś zupełnie niewinnego. Oto w kącie jaskini kuliły się dwa szczeniaki, dwa wilki. Jeden biały jak śnieg na mrozie, drugi czarny jak noc, pozbawiona gwiazd. Nie wiem czy to przez współczucie, czy przez fascynację, ale postanowiłem zabrać je i wychować. Nazwałem je Nacht i Tag. Dalszą część tej historii już znasz.

Oto całe moje wyznanie. Nie przejdę w stan spoczynku, tak jak chciałaś. Jeszcze nie czas na mnie. Muszę walczyć, aby nasz świat nie został kolebką barbarzyństwa, by nie rządziły w nim dzikie bestie. Chcę by nasze dzieci, nasi wnukowie nie musieli oglądać na własne oczy tego, co od lat jest moją codziennością. Aby zapanował pokój, muszę wpierw zetrzeć to bestialstwo z powierzchni ziemi.

Wybacz mi, proszę.

Twój kochający mąż

Günter von Duisburg

*

Mój najdroższy chłopcze.

Kocham Cię takiego, jakim jesteś. Wróć do mnie, gdy już uratujesz świat.

E.

Koniec.